

OŚLIZŁO I JAROSIK TAŃCZĄ KANKANA

My, Polacy zawsze jesteśmy skorzy „do tańca i rózańca”, więc i na deskach Follies Bergers pokazaliśmy, co potrafimy. Na scenę, wytypowani przez kolegów, zgrabnie wskoczyli Stanisław Oślizło i Andrzej Jarosik. Elegancko uklonili się widowni, ucałowali dłoń konferansjerki, wybrali mocno wymalowane dziewczyny i dawaj w płasy. Okazali się tu autentycznymi mistrzami. Daleko za nimi uplasowali się jakiś przystojny Austriak i wysoki Amerykanin. Szarmanckich Polaków zaproszono więc do wspólnego kankana. To już wyższa szkoła jazdy, ale Staszek i Andrzej wyrzucali nogi w górę, niemal z taką samą gracją, jak dziewczęta z rewii. Finalny rozkrok też udany. Podziwiali i klaskali wszyscy, cała sala była z nami...

Oślizło wygrał jeszcze jeden konkurs. Mistrzyni ceremonii nie wychodziła z podziwu:

– O la la la!... Ten Polak całuje jeszcze lepiej, niż nasz Alain Delon!... Czy równie wspaniale umie grać w piłkę?

– Tak! – chórem odpowiedzieli wszyscy Polacy.

– Więc dlaczego jego drużyna przegrała wczoraj z Francją na Parc des Princes?...

W kraju występami swoich mężów w Follies Bergeres zainteresowały się żony. Do redakcji zadzwoniła Barbara Jarosikowa:

– Niech pan powie coś więcej o tych tańcach i konkursach w Paryżu... Czy mój Andrzej też całował Francuzki?...

Po przegranej z Francją odżyła dyskusja wokół selekcji. Goniono w piątkę, zmieniano poglądy częściej, niż rękawiczki. Znowu kluczowo między „komisją selekcyjną”, a „samodzielnym selekcjonerem” i tak w kółko Maciej, bez wyobraźni i jednoznacznego stanowiska. Na Parc des Princes znowu nie wypalił pomysł z trójosobowym kapitanatem. Nie czekano więc do zakończenia eli-

minacji i już po pierwszej wpadce podziękowano Nowakowi, Brzeżańczykowi i Górskiemu. Jednoosobowo zastąpił ich Michał Matyas. Tu i ówdzie przebakowano, że stało się to dzięki błogosławieństwu Ryszarda Koncewicza. Twierdzono, że „Faja” teraz z tylnego siedzenia kierował reprezentacją. Polska specjalność? W kołach rządowych w różnych okresach historycznych też o tym mówiono.

W Ploeshti oglądałem selekcyjny debiut Matyasa. Nasza reprezentacja, będąca wtedy w cieniu drużyn klubowych, przegrała tam z Rumunią 3:4. Czołowi ligowcy, zwłaszcza Górnik Zabrze, uważany w wielu środowiskach za „drużynę rządową”, dyktowali swoje racje PZPN-owi. Z Rumunami nie wystąpił ani jeden piłkarz z Zabrza, bo... tydzień później w Pucharze Mistrzów oczekiwał Górnika mecz z CSKA Sofia. Priorytet klubu, reprezentacja na marginesie. Zaraz po meczu z Rumunią, poleciałem z Bukaresztu do Sofii. Znowu poczułem się niesmacznie – nasz mistrz głupio przegrał 0:4. Trenerowi Kalocsaiovi wygarnąłem niedojrzałość taktyczną, kunktatorstwo, w ogóle złe przygotowanie drużyny do meczu. Prezesowi klubu, Erykowi Wyrze wytknąłem zaś bezwiedne odruchy charakterystyczne dla psa ogrodnika. Sam się nie pożywił i innemu też nie dał...

Michał Matyas w rozgrywkach o mistrzostwo Europy podzielił wcześniejszy los trenerów Tadeusza Forysia i Ryszarda Koncewicza. „Myszka” już na dzień dobry posiał jeden punkt w bezbramkowym meczu z Luksemburgiem i dwa z Francją w Warszawie. Nie lubię takich określeń w sporcie, ale był to blamaż totalny. Reprezentacja wygrała jednak oba trudne spotkania z Belgią, w Chorzwie 3:1 i w Brukseli 4:2. Szczególnie utkwiło mi w pamięci to drugie spotkanie. Realnych szans na awans już nie było, ale ewentualnym zwycięstwem na Heysel można by nieco odbudować mocno nadszarpniętą reputację. Przed odlotem na ten mecz napisałem w „Przeglądzie Sportowym”:

... W Brukseli wystąpi nieco silniejsza i lepiej przygotowana polska drużyna. Kto dobrze tam zagra, nadal mieć będzie otwartą drogę do reprezentacji, kto nie – będzie się musiał z nią pożegnać...

Postawiłem na prawoskrzydłowego Legii Warszawa, Janusza Żmijewskiego:

... Znam dobrze walory tego wyjątkowo nieobliczalnego napastnika. To typowy nastrojowiec. Jeśli w niedzielę nie w stanie z łóżka lewą nogą, może nawet zdobyć bramkę w Brukseli.

W dniu meczu, konkretnie 8 października 1967 roku, wraz z zastępcą sekretarza generalnego PZPN Fabianem Marmurowiczem byłem gościem na śniadaniu w prywatnej rezydencji prezesa Belgijskiego Związku Piłki Nożnej, pana Louisa Woutersa. Było miło, wróciliśmy do hotelu w dobrych humorach. Trafiliśmy akurat na kończące się spotkanie trenera Matyasa z dziennikarzami. Ogłosił już skład, nikt nie miał uwag. „Myszka” jednak dla przyzwoitości zapytał jeszcze mnie:

– A co o tym sądzi pan Jerzy?

– Znowu w najlepszym wypadku będzie tu remis – spokojnie odpowiedziałem. – Stawia pan trenerze na duet Lubański – Szoltyś... Świetny, ale w Europie już dobrze znany. Belgowie też wszystko o nich wiedzą... Potrafią „odciąć” Włodka od podań „Małego”... Niczym ich nie zaskoczemy... A trzeba! Ja bym zaryzykował wariant ze Żmijewskim na prawym skrzydle. W parze z Brychczym jest w stanie rozmontować belgijską obronę...

Michał Matyas nie był w rozmowach potulny, zazwyczaj nerwowo reagował, gdy ktoś podważał jego koncepcję. Przed rokiem w Rumunii mocno zbeształ redaktora Kosska, który wytknął mu uległość wobec Górnika Zabrze. Jednak tym razem żadnego wybuchu nie było:

– Tak pan sądzi?... Porozmawiam o tym z radą drużyny...

Kostka, Oślizło, Gmoch, Brychczy, Piechniczek i Lubański wypowiedzieli się jednoznacznie:

– Żmijewski na prawym?... To dobry pomysł...

Piłkarze, podobnie jak ja, dobrze wiedzieli, że w niektórych meczach „Jojo”, czyli Żmija, błyszczy jak gwiazda, ale gdy jest w złym nastroju, tylko spaceruje po boisku. W Brukseli dobrze wyspany odpowiednią nogą wstał z łóżka. Czy na Heysel zdoła udowodnić, że opinie o jego chimerach są niesłuszne i niesprawiedliwe? Polska pokonała Belgię 4:2. Trzy bramki zdobył właśnie Janusz Żmijewski, czwartą Lucjan Brychczy. Co na to Szołtysik i Lubański:

„Mały”: ... *Dosłownie dwie godziny przed meczem dowiedziałem się, że nie wybiegnę na Heysel. Wcale tego nie żałuję... Koledzy grali wspaniale! Na najwyższe noty zasłużyli obaj pomocnicy Szmidt i Brychczy oraz Lubański i Żmijewski w napadzie..”*

Włodek: ... *Szkoda, że tak rzadko grywam z Januszem. Doskonale się rozumiemy.*

Do mało oczekiwanego zwycięstwa nad Belgią przyczynili się nie tylko Brychczy, Lubański, Szmidt i Żmijewski. Był to fantastyczny mecz całej drużyny, a wybór taktyki dokonany przez trenera Matyasa, akurat w tym meczu i przeciw tak groźnemu przeciwnikowi – doskonały. Niby nastawiliśmy się na grę wzmocnioną obroną, bo aż pięciu zawodników tworzyło tę formację, ale wynik 4:2 wyraźnie dowiódł, że nie był to styl defensywny. „Myszka” dokładnie rozpisał zadania dla poszczególnych zawodników. Stanisław Oślizło był klasycznym „libero”, takim jak Armando Picchi w Interze Mediolan, Jacek Gmoch indywidualnie zaopiekował się Van Himstem i staczał z nim heroiczne boje, Brychczy i Szmidt wykonali tytaniczną pracę w strefie środkowej, a Lubański i Żmijewski przez 90 minut błyszczeli w ataku. Brukselska prasa była zaskoczona:

– Jak oni mogli przegrać w Warszawie z Francją?...

Van Himst, najlepszy piłkarz pokonanych, też nie krył zdziwienia i uznania:

...Największą bronią polskiej maszyny piłkarskiej były zwody napastników. Oni stale powodowali zawrót głowy u naszych obrońców. Natomiast Polacy łatwo stopowali nasze ataki, dyktowali tempo i rytm tego meczu...

Obserwujący to spotkanie czarnoskórzy dziennikarze z Konga, niegdyś kolonii belgijskiej, łapali się za głowy:

– Nie Pele!... Nie Eusebio... Ten Polak z numerem siedem, strzelec trzech bramek jest najlepszym piłkarzem świata! Opiszemy to w naszej prasie...

Sam bohater zachował więcej umiaru i obiektywizmu:

– Sądzę, że ten mecz na dłużej uitorował mi drogę do reprezentacji. Chcę być i czuję się potrzebny...

Drugą, największą indywidualnością na Heysel był Lucjan Brychczy. Minęło właśnie trzynaście lat od debiutu „Kiciego” w reprezentacji. W klubie świętował jeszcze większe wydarzenie – jubileusz rozegrania pięćsetnego meczu w barwach Legii.

– Przypomnij – prosiłem – jakie były początki...

– CWKS, bo tak wtedy nazywała się Legia, był zagrożony spadkiem z pierwszej ligi. Mieszkałem wtedy na Śląsku, miałem zamiar grać w Ruchu. Tam mnie jednak nie chcieli. Do gry w Warszawie namówili mnie Ernest Pohl i „Epi” Kowal. Razem ze mną przyszedł wówczas do CWKS „Marcel” Strzykalski. I zaczęły się sukcesy... Dwa dublety w latach 1955 i 1956. To była drużyna!

– Jedenastu reprezentantów Polski...

– Ano tak... Tylko, że w roku 1957 zaczęły się gorsze czasy Legii. Na Śląsk najpierw powrócili Szymkowiak, Pohl i Kowal, a potem Kempny. Rozpadł się zespół, który miał „papiery” na podbicie Europy. Krajowi rywale mieli teraz ułatwione zadanie, tylko ja nadal poważnie im zagrażałem. Miałem więc w każdym meczu specjalnego „anioła stróża”. Niektórzy obrońcy świadomie mnie faulowali. Mimo to strzelałem bramki, byłem nawet królem strzelców. Tylko Wojtek Łazarek nigdy nie zrobił mi krzywdy. Kiedy na jednym ze spotkań Legia – ŁKS w Warszawie, trener Król zganił go, że niezbyt „dokładnie” się mną opiekuje, odpowiedział z rozbijającą szczęściarą:

– Ależ panie trenerze!... On tak pięknie grał, czarował widownię, zbierał oklaski... Sumienie nie pozwalało, by mu w tym przeszkadzać... Wywarł na mnie ogromne wrażenie. Proszę to zrozumieć i... wybaczyć...

Michał Matyas, po wygranym meczu z Belgią w Brukseli, mógłby chodzić dumny, jak paw, gdyby niespełna miesiąc wcześniej nie doznał upokorzenia w meczu z Francją w Warszawie. Na zgrupowaniu kadry w ośrodku olimpijskim na Bielanych jeszcze tryskał humorem, strzelał na bramkę w ściśle określone miejsce lepiej od reprezentacyjnych napastników, ale kilka dni później chodził, jak struty. Aż 1:4 z „trójkolorowymi” załamało zresztą nie tylko „Myszkę”. Nieco odżył po sukcesie na Heysel, jednak nie na tyle, by mieć nadzieję na utrzymanie funkcji selekcjonera. Ostatecznie pogrzebał swoje szanse po bezbramkowym meczu z Rumunią w Krakowie.

Filozofowie twierdzą, że dwa razy nie należy wchodzić do tej samej rzeki. *Panta rei* – „wszystko płynie” – powtarzają za Heraklitem z Efezu. Ryszard Koncewicz był widać innego zdania, bo z reprezentacją nie potrafił się rozstać. Samodzielnie prowadził drużynę narodową już w latach pięćdziesiątych, aż do fatalnie przegranego meczu z NRD na otwarcie Stadionu Śląskiego. Dziesięć lat później po raz drugi żegnał reprezentację po remisie z Anglią w Liverpoolu. Nie na długo usunął się w cień, bo już na początku marca 1968 roku znowu powierzono mu opiekę nad reprezentacją. Wreszcie jest selekcjonerem - trenerem! Spełnione marzenie...

„Faja” był fachowcem wybitnym, jednak zapewne nie urodził się w czepku, trudno byłoby go nazwać „szczęściarzem Antonim”. Kolejną kadencję w roli selekcjonera rozpoczął jednak wręcz koncertowo, od wygranej w Chorzowie z Turcją aż 8:0. Super debiuty zaliczyli Kazimierz Deyna i Zygmunt Maszczyk. Następne mecze towarzyskie z Holandią, Norwegią, Irlandią i NRD również napały optymizmem. Przed mistrzostwami świata w Meksyku Polska znalazła się

w grupie eliminacyjnej z Holandią, Bułgarią i Luksemburgiem. Faworytem byli tu „pomarańczowi” z Van Beverenem, Van Hanegenem i Cruyffem, jednak dość powszechnie sądzono, że również naszą reprezentację stać na stoczenie z nimi równorzędnej walki. Dopiero za duetem Polska – Holandia stawiano Bułgarię.

Śledziłem te eliminacje ze szczególną uwagą, wtedy już z pozycji kierownika działu piłkarskiego w „Przeglądzie Sportowym”. Z Krakowa, gdzie na dobry początek „biało-czerwoni” pokonali Luksemburg 8:1, wróciłem w dobrym humorze. Koncewicz, wbrew obiegowym opiniom (z gruntu fałszywym), sugerującym jego skłonności do defensywnego stylu gry, po raz wtóry dowiódł, że wybrał zgoła inny kierunek – ofensywny. Zresztą, na łamach miesięcznika PZPN „Piłka Nożna” dość często i jednoznacznie powtarzał, że *„murowaniem własnej bramki nie osiągniemy sukcesów”*. Ale „Faja” nie był też entuzjastą „radosnego futbolu”.

Uważał, że taka beztroska piłka nożna nie ma najmniejszego sensu. Jest to gra zespołowa do dwóch bramek i jako taka musi uwzględniać rozwój wydarzeń na obu polach karnych; na jednym różne formy ataku, na drugim zorganizowaną obronę. Z reguły cel rywalizujących drużyn w sferze taktyki jest taki sam – dążenie do zachowania równowagi między akcjami ofensywnymi i obronnymi. O tę równowagę od dziesiątków lat zabiegają najznakomitsi teoretycy i praktycy futbolu. W Polsce również systematycznie zmierzano w tym kierunku.

Koncewicz wzorując się na nowościach z mistrzostw świata w Anglii w 1966 roku, jednoznacznie propagował „grę wszystkimi siłami”. Wizja optymistyczna, usiłująca równoważyć podstawowe funkcje każdego zespołu piłkarskiego: destrukcję, konstrukcję i egzekucję. Szczególnie duże zadania stawiał jednak przed drugą linią. Gra w tej formacji w stopniu największym wymaga od zawodników wszechstronnego wyszkolenia – muszą być dobrzy w ataku i obronie. Anglicy narzucali taki właśnie kierunek rozwoju futbolu, a trener Koncewicz wytrwale zabiegał o przeniesienie tych wartości na nasze boiska ligowe.

Podobnie pracował z reprezentacją. Tworzył ją z zawodników uniwersalnych, w naszych warunkach dość wszechstronnie wyszkolonych, najbliższych formule gry zespołowej. Z takimi łatwiej realizować taktyczne nowinki. Potwierdził to wyrównany mecz z Holandią w Rotterdamie z cyklu eliminacji mistrzostw świata i towarzyski z Brazylią w Warszawie. Wprawdzie oba przegrane, co w świetle koncepcji Koncewicza, można postrzegać w kategoriach paradoksu, ale to nie była teoria fałszu i sprzeczności. Obaj rywale – to światowa czołówka i przegrana z takimi wstydu nie przynosi. Droga wytyczona przez Koncewicza nie była więc błędzeniem po omacku.

Poza meczem Holandia – Polska oglądałem wszystkie pozostałe o punkty mistrzostw świata. W większości z nich nasi reprezentacni imponowali dobrym przygotowaniem kondycyjnym i taktycznym. Niewypałem okazało się tylko spotkanie z Bułgarią w Sofii. Tam „Faja” wyraźnie sprzeniewierzył się prawdzie, że „piłka nożna jest grą do dwóch bramek”. Zbłądził taktycznie czy nie miał rozeznania? Przecenił rywala i... najadł się strachu. Położył nadmierny nacisk na obronę naszej bramki. Chciał stąd wywieźć bezbramkowy remis. Nie widział w tej strategii miejsca dla Kazimierza Deyny. To mi się nie podobało. „Faja” ustąpił, a Deyna strzelił nawet bramkę. Był to jednak wyjątkowo nieudany występ naszej reprezentacji. Skrępowana defensywnym gorsetem przegrała w Sofii aż 1:4. W pozostałych meczach trener i piłkarze już nie popełnili tego błędu i kolejno pokonali: Holandię 2:1, Luksemburg 5:1 i Bułgarię 3:0.

ZŁOTE GODY PZPN

Każda z tych potyczek dostarczyła teoretykom sporo wiedzy na temat „gry wszystkimi siłami”. Szczególnie zwycięstwo nad Bułgarią 3:0 zasługuje, by pod każdym względem: nowoczesnej myśli taktycznej, widowiskowości, zaangażowa-

nia i skuteczności uznać je za jedno z najefektowniejszych w całej historii naszej reprezentacji. Piękny i jakże dramatyczny był także mecz z Holandią w Chorzowie. Przed grą rozmawiałem z ówczesnym trenerem Holandii, Georgiem Kesslerem. Fotoreporter Mieczysław Świdorski uwiecznił to na zdjęciu, a „PS” oczywiście je opublikował.

– Uważa pan, że Bułgaria po zwycięstwach nad Holandią i Polską jest faworytem w naszej grupie?

– Tego nie powiedziałem. Zawsze uważałem i nadal uważam, że na wyjazd do Meksyku ma szansę każda z trzech drużyn – Bułgaria, Holandia, Polska. Kluczowe znaczenie ma mecz Polska – Holandia w Chorzowie... Niech pan spojrzy na moją głowę. Dużo na niej siwych włosów. Po meczu z Polską będzie już chyba biała, jak gołąbek...

– Obawia się pan naszej drużyny?

– Oczywiście! Obawiam się także śląskiej publiczności.

Georg Kessler miał rację. Nasza drużyna niesiona entuzjazmem widowni pokonała Holandię z jej wszystkimi tuzami 2:1. Bramki zdobyli Jarosik i Lubański. Co dalej? Teraz trzeba wygrać rewanże z Luksemburgiem i Bułgarią oraz liczyć na zwycięstwo „Oranje” nad Bułgarią.

Po wygranej z Holandią w Chorzowie – powiedział Koncewicz – odzyskaliśmy wiarę w siebie i... nadzieję na wygranie eliminacji. Szansa po temu jest ogromna. Kessler obiecał pomóc: – Pokonamy u siebie Bułgarów – zapewniał – i do Meksyku pojedzie Polska. Chyba, że... z Luksemburgiem lub Bułgarią sami pogubicie punkty.

Do Luksemburga, gdzie przed dwoma laty reprezentacja pod wodzą Michała Matyasa tylko zremisowała w eliminacjach mistrzostw Europy, jechaliśmy nie bez obaw o końcowy wynik. Taki szmat drogi podróżowaliśmy pociągiem. Innej możliwości nie było. Odbywające się wtedy manewry NATO stały się dla

państw Układu Warszawskiego pretekstem do zawieszenia rejsów samolotowych. Zaraz za Berlinem Wschodnim szczególną czujność wykazały służby graniczne NRD. Kłuto bagnetami siedzenia i oparcia w przedziale, a nas potraktowano jak przestępców. Nieco wystraszeni i zmęczeni dotarliśmy jednak do Kolonii, a stamtąd do Trewiru. Zbyszek Kossek, Mietek Szymkowiak i ja kierujemy się do hotelu. Trzeba wreszcie nieco odpocząć i pospać. Połączenie do Luksemburga mamy dopiero nad ranem. Krążymy po mieście, rozglądamy się za hotelami, szukamy noclegu, ale wszędzie brak miejsc. Co się dzieje? Wszędzie dużo policji. Czy to też z powodu manewrów NATO?

Trafiliśmy właśnie na zjazd wyborczy SPD. W Trewirze, tam jak wiadomo, urodził się Karol Marks, po raz kolejny ster niemieckiej socjaldemokracji objął Willy Brandt, od 1969 roku także kanclerz RFN. A my w ciemnościach błąkamy się po bruku. Zwróciliśmy się do policji z pytaniem „co robić”? Grzecznie odprowadzono nas na dworzec kolejowy i tam kazano czekać na połączenie z Luksemburgiem. O godzinie 23.00 wszystkich niepodróżujących wyproszono z poczekalni, a nas zamknięto na klucz. Także dworcowe ubikacje! Ulga przyszła dopiero o piątej nad ranem, odjechaliśmy do Luksemburga. Na granicy nikt nie pytał o paszporty i wizy. Inna Europa. Pociąg tylko lekko zwolnił bieg, a strażnik graniczny dziarsko zasalutował. Dziwny jest ten świat... Dobę wcześniej w NRD omal nie pokłuto nas bagnetami.

W Luksemburgu byliśmy wcześniej niż reprezentacja, która też miała podróż z przygodami. Zjawiała się tam dopiero w sobotę po północy, a przecież w niedzielne popołudnie czeka ją mecz. Zmęczenie, brak ruchu i snu, ociężałość – to wszystko sprawiło, że przed przerwą, na Stade Municipal zanosilo się na sensację. Przegrywaliśmy 0:1! Na drugą połowę meczu wyszła jednak zupełnie inna nasza drużyna: ruchliwa, ambitna, z ogromną wolą walki, skuteczna. W ciągu 18 minut pięć bramek zdobyli: dwie najlepszy na boisku Deyna, a po jednej Bula,

Jarosik i Lubański. Zwiadowca z Bułgarii Lubomir Angełow wyraźnie zmarkotniał. Jak właściwie gra Polska?

Nasza reprezentacja nie rodzi się na poduszkach z płatków róż... Wciąż na jej drodze do Meksyku pojawiają się przeróżne przeszkody. Dziś też tak było, dużo zła przed przerwą, potem tylko oklaski. Ale to, co dobre i dało wygraną z Luksemburgiem, może okazać się złudne, za słabe na Bułgarię... – napisałem w „PS”.

Natomiast żadnych wątpliwości nie miał Ryszard Koncewicz:

– Z Bułgarią wygramy! Obserwowałem tę drużynę pięć razy i wiem o niej wszystko... Niczym nas nie zaskoczy! Natomiast my mocno pokrzyżujemy Bułgarom szyki. Napad zagra w innym zestawieniu, niż oni sądzą, a bramki też będzie strzelał ktoś inny...

Był to popisowy mecz naszej reprezentacji, bezwzględnie jeden z najlepszych w pięćdziesięcioletniej historii PZPN. Godnie ukoronował Złote Gody Związku, na które akurat wtedy zjechali do Warszawy goście niemal z całej Europy. Raz po raz, gdy przy piłce byli: Bula, największy aktor tego widowiska, Deyna, Lubański lub Jarosik ogarniało ich zdumienie:

– Formidable!... Super football!...

Stanley Rous (prezydent FIFA): ... Podobała mi się ta drużyna o wielkim duchu sportowym i dużych umiejętnościach...

Hans Bangerter (sekretarz generalny UEFA): ... Byłoby wielką szkodą dla futbolu, gdyby takiej drużyny jak Polska zabrakło w Meksyku...

Do Meksyku pojechali jednak Bułgarzy, a o ich szczęściu zdecydował remis 1:1 w wyjazdowym meczu z Holandią. Wszyscy ludzie futbolu w Polsce poczuli się zawiedzeni, a trener Koncewicz wręcz oszukany. Georg Kessler zapewnił „Faję”, że u siebie odprawi Bułgarię z kwitkiem, tymczasem nie dotrzymał słowa. Tuż przed meczem poniosła go ambicja i zgubiła zbyt duża pewność siebie. Drobne nieporozumienia w drużynie zwałił wyłącznie na zawodników. Uka-

rał ich i... nas!. W tak ważnym meczu zrezygnował z usług doskonałego bramkarza Van Beverena, nietuzinkowego pomocnika Van Hanegema i już wtedy najwybitniejszego napastnika Europy, Johana Cruyffa. Puszył się, sądził naiwnie, że i bez nich da sobie radę. Koniec bajki. Nikt nie chciał za nas wyciągać kasztanów z ognia!... Żał mi było Koncewicza. Oddał piłkarstwu gorące serce i trzeźwy umysł, ale znaczącego sukcesu z reprezentacją nie odniósł.

Lata sześćdziesiąte żegnaliśmy z mieszanymi uczuciami. Spektakularnych sukcesów jeszcze nie było, ale przejawy postępu już się zarysowały. Lepiej zaczęły pracować kluby. Ruch i Legia przerwały monopol Górnika Zabrze w krajowych rozgrywkach. Wojskowi już w połowie lat sześćdziesiątych dwukrotnie wywalczyli Puchar Polski, w lidze również stoczyli kilka porywających spotkań, ale tych najważniejszych jeszcze nie potrafili wygrywać. Brakowało im konsekwencji i koncentracji. Na przykład wiosną 1965 roku po pięknej grze do 85 minuty prowadzili z Szombierkami w Bytomiu 4:2, mimo to przegrali ten mecz 4:5. Fakt, gospodarzom nieco pomógł sędzia, Marian Środecki z Wrocławia, który dał się nabierać na sprytne symulacje Jerzego Wiliama w polu karnym, ale dojrzały zespół nie może sobie pozwolić na takie trwonienie wysiłku.

Kadrowo Górnik Zabrze wciąż był najlepszy. Jednak już znacznie gorzej prezentował się od strony szkoleniowej. W latach 1961 – 1967 stanowczo za często zmieniano tam trenerów. Wszelkie granice przyzwoitości przekroczone w 1964 roku. Jeden sezon – czterech trenerów, swoista sztafeta absurdu. Na pierwszej zmianie pobiegł Ewald Cebula, od niego pałeczkę przejął Feliks Karolek, po nim Hubert Skolik, wreszcie do mety dość szczęśliwie dobiegł Węgier Ferenc Farsang. Najmniej znany i szanowany w środowisku był Karolek, stał się rychło marionetką w rękach zawodników. Pił razem z nimi. Na treningach znowu pojawiła się *„kwaretka, jako symbol zbratania i jedności”*.

– Karolek, wyście som ale fajny chop... Późcie no, sam ino!... Ta, chlapniem kwaretka...

Łykanie kalorii w płynie modne było również w innych klubach. Krajowi trenerzy nie byli w stanie sobie z tym poradzić. Piłkarze publicznie wygłaszali opinie bagatelizujące ich rolę w szkoleniu. W pierwszej połowie lat sześćdziesiątych przez jakiś czas bramki zabrzan bronił Joachim Szołtysek. Wygrywali. Przechwalał się więc przy każdej okazji:

– Taką drużynę i takich piłkarzy jak Górnik, mogłaby trenować nawet moja teściowa i... też było by mistrzostwo...

Szef wyszkolenia PZPN, Ryszard Koncewicz ubolewał nad ptasimi mózdkami niektórych piłkarzy. Przekonywał nie ich samych, bo w większości wypadków było by to bezsensowne „walenie głową w mur”, ale trenerów i prezesów klubów. Uważał, że niesportowy tryb życia wielu czołowych piłkarzy, jest jedną z przyczyn ich permanentnych wahań formy i braku postępów. Dla pijaczków każde miejsce i czas na opróżnienie flaszki były dobre. Magister Tadeusz Foryś po jednym ze spotkań reprezentacji odkrył rzecz niezwykłą:

Szli pod prysznic trzeźwi, wracali pijani... Głowiłem się, jak tam przemycali alkohol... W następnym spotkaniu pilnie śledziłem każdy ruch tych najbardziej trunkowych. Wchodzili pod kran tak, jak ich Pan Bóg stworzył... Nawet ręczników nie mieli... Odkryłem! Handtuchy przynosiły im żony... Owijały nimi butelki i... dyskretnie chłopom podawały...

Trener, który usiłował zaprowadzić w klubie dyscyplinę i przestrzegać choćby podstawowych norm szkoleniowych, nie był lubiany. W którymś z numerów „PS” wyraziłem to w felietoniku: „**Ależ to prawda!**”.

– Mietek – mówi trener – jutro trening, jak zwykle o jedenastej. Przyjdź punktualnie!...

– Tak rano? Czy nie za dużo tych treningów?... Codziennie...

Mietek spóźnił się, ale na trening przyszedł, Trener zganiał go przy całej drużynie.

– Pieronie! – replikował skarcony zawodnik. – Jeszcze ale takiego trenera – biurokraty nie widział...

Piłkarz był już starszy wiekiem i stażem w drużynie, jednym z tych, którzy pamiętali czasy pewnego trenera z zagranicy. Zajęcia prowadził w garniturze, z krawatem na szyi i z wygodnego fotela rzucał luźne uwagi.

– To był ale fajny chop! Po zajęciach zawsze zadowolony i pysznie komentował nasz wysiłek. Manszaft jest dobra!... Pilkasz muss trinken... A dziś? Czego ten „Fajka” w tym PZPN nie wymyśli!... Plany przygotowań do sezonu i konspekty na każde zajęcia... To jest dopiero biurokracja. Mało tego... wprowadzają sporty uzupełniające. Chcą, byśmy dźwigali ciężary, jakieś sztangi, pływali, skakali, grali w koszykówkę... Milczą, gdy te pismaki z Warszawy nas krytykują. Ej, kiedyś to były czasy!!!

W tym ostatnim zdaniu starałem się nawiązać do przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Pito i objano się na treningach zawsze, ale właśnie wtedy zaczęło się w naszej lidze, jeśli nie jawne kupczenie meczami, to nadmierne przyjazne traktowanie niektórych drużyn. W głośnym w końcu 1959 roku meczu Legia – Pogoń nikt nikogo nie złapał za rękę, nawet nie posądził o mactwo, ale już dwa lata później w Łodzi w spotkaniu ŁKS – Legia podejrzeń było sporo. O tym, że wygrają łodzianie, w Warszawie nawet wróble ćwierkały na dachu. Najgłośniejsz rozprawiał na ten temat „Kulawka”, Stanisław Grobelny w owych czasach kibic Legii numer jeden. Znał klub jeszcze z czasów przedwojennych. Wiedział o piłkarzach wszystko: gdzie pili, balowali z panienkami, z kim i gdzie handlowali. Skłonnych do szkodliwych uciech cielesnych przestrzegał: – J...! Niemiec, j...! Rusin! Jeszcze ciebie diabeł skusił?...

Przed meczem ŁKS – Legia obnosił się ze swoją wyprawą do Łodzi po całym Powiślu:

– Jadę dzień przed meczem i przypilnuję, żeby Heniowi Szymborskiemu nie stała się krzywda. Nasze chłopaki zamieszkają w Savoyu... Odpowiednio ich tam ustawię... Będą przygotowani na łódzkie propozycje. A potem mocno przysmarujemy...

Byłem na tym meczu. Całe popołudnie w Łodzi padał deszcz. Mglisto, dżdżysto, chłodnawo... Nic to – kibiców 30 tysięcy! Przez całą pierwszą połowę jednak cicho, cichutko, jak by makiem zasiał. Legia gra ładnie dla oka, zdecydowanie przeważa, ale bramek nie strzela. Kibice nie dopingują. Boją się zapeszyć czy nie chcą pobudzić Legii? Piłkarze ŁKS też jacyś bierni, zrezygnowani. Tylko przyglądali się jak gra Legia, a ona nic więcej poza „sztuką dla sztuki” nie prezentuje. Gra „sobie a muzom”, bez żadnej szkody dla rywali. „Kulawka” triumfuje:

– Scenariusz, jak należy... Legia ich postraszyła, a teraz zażąda większej kasy!...

W czasie przerwy nikt jednak z forszą do legionistów nie podchodził. Mimo to obraz gry uległ radykalnej zmianie – już w 46 minucie ŁKS prowadził 1:0. Junior Charbicki, jakby przeczuwając, że Jacek Gmoch zachowa się nieporadnie, był gdzie trzeba i strzelił pierwszą bramkę. Dopiero teraz, jak wybuch wulkanu, rozległ się nad stadionem potężny okrzyk: – ŁKS! ŁKS!... Ale za moment znów było cicho. Brychczy jak kosą ścięty, padł na polu karnym łodzian. Ewidentna „jedenastka”. Sędzia Buczek za Starachowic jednak każe grać dalej. „Kici” tylko złośliwie machnął ręką i krzyknął: – *Co tu jest grane!?*

Za moment wiedział to już cały stadion. Po kolejnym strzale Charbickiego odbita piłka trafiła pod nogi Woźniaka. Legionista wyraźnie pomylił bramki. Z ogromną siłą, nie do obrony kropnął obok bezradnego Fołtyna. Niecodzienny samobój! Widownia po raz drugi oszalała. Jest już 2:0! Na tym nie koniec. Za chwilę na środku boiska piłkę przejął Wieteska i przez

nikogo nie atakowany zaskoczył Fołtyna po raz trzeci. „Kici” starał się ratować twarz „śląskich legionistów”. Znowu wdarł się na pole karne ŁKS i znowu ścięty padł na murawę. Teraz sędzia już bez żadnych skrupułów podyktował karnego. Ostatecznie ŁKS wygrał 3:1 i wyraźnie oddalił od siebie groźbę spadku z I ligi.

Po tym meczu podejrzeń o szwindel było mnóstwo. Tylko, że nikt nie widział pieniędzy. Najbardziej zdegustowany był Stasio „Kulawka”.

– Co ten „Siwy” i „Szczęka” wyprawiali?!... Chyba sami zgarnęli całą pulę. Czeka ich niezły wycisk...

ŁKS jeszcze na sto procent nie był pewny utrzymania się w I lidze. Głośno rozprawiali na ten temat łódzcy kibice:

– Najważniejsza będzie ostatnia kolejka. Polonia Bydgoszcz gra u siebie z Legią, a ŁKS z Górnikiem Zabrze. Jeszcze mogą być kłopoty...

– Coś pan oszalał?!... Legia wygra na pewno! – wrzasnął ktoś w tłumie... Przecież jest faworytem...

– No i co z tego? A czy w meczu z ŁKS nie była faworytem? Była. I przegrała...

– Panie! Czyś pan kiep?!... To zupełnie inna para kaloszy!.. Legia i ŁKS są przecież w dobrej komitywie. Naszej wygranej wymagały interesy warszawsko-łódzkiego piłkarstwa. Legii przecież zawsze lepiej, taniej i łatwiej jest jechać na mecz do pobliskiej Łodzi, niż gdzieś tam hen w Polskę. Ja to panu mówię! Ja się na tym znam!...

Kibic miał rację, Legia wygrała w Bydgoszczy 4:2, ale nie tylko dlatego, że sympatyzuje z ŁKS. Zdopingował ją do tego generał Zygmunt Huszcza, ówczesny dowódca Pomorskiego Okręgu Wojskowego i prezes Zawiszy Bydgoszcz. Mówił przed meczem do trenera Górskiego:

– Panie Kazimierzu, mój Zawisza już wcześniej spadł z ligi... Było by mi nieco różnie, gdyby dla towarzystwa dziś ten sam los spotkał Polonię. Przecież

w Bydgoszczy milicja nie może być lepsza od wojska... Jeśli Legia wygra, publicznie spalę swój kapelusz! Potem zjemy razem obiadek, wypijemy po koniaczku i zagramy w brydża...

Wszystko odbyło się po myśli generała, ale Górski mocno współczuł trenerowi Polonii, Mieczysławowi Jezierskiemu.

– Miecio, nie gniewaj się, że to właśnie moja drużyna zdegradowała Polonię...

– Ależ Kaziu! To jest sport! Na tym polega jego urok... Osobiste sympatie nie odgrywają tu żadnej roli...

Spalono po meczu dwa kapelusze, generała Huszczy z Zawiszy i pułkownika Stanisława Szulczyńskiego z Legii.

– Kto jeszcze chętny! Może kierownik! – zwrócił się kapitan Legii, Edmund Zientara do Jana Boczeja.

Kierownik nie chciał wracać do Warszawy z gołą głową. Obawiał się przeziębienia. Ofiarował jednak na płonący stos swój jedwabny krawat. Też ładnie się palił. Brydż był nietypowy. Generał grał w parze z Górskim, a ja z Bernardem Blautem. Górowaliśmy dość wyraźnie, po jednym z rozdań Benio zaliczył szlemika karo. Pas, pas...

– Pan wistuje, generale...

– Chwileczkę, jeszcze nie koniec licytacji... Dwa trefle, proszę...

– Ależ panie generale...

– Żadne „ależ”! Gramy dwa trefle. Przecież to jest brydż generalski!...

Naszą ligę znowu zaczęto traktować jako twór cherlawy i rachityczny. Piłkarze odrabiali pańszczyznę. Nawet Górnika Zabrze męczyła ligowa młócka. Poważniej traktował tylko rozgrywki o Puchar Polski. Szkolenie kulało. Dojrzała sytuacja, by w roku 1965 zorganizować kolejną unifikację nauczania gry w piłkę nożną. Kierownik wyszkolenia PZPN Ryszard Koncewicz, w tej roli dużo lepszy i wyżej ce-

niony, niż w pracy z reprezentacją, mocno uderzył pięścią w stół. Kategorycznie domagał się poprawy jakości i unowocześnienia szkolenia w klubach. Ożył duch pozytywizmu. Apelowano o przemyślaną i systematyczną pracę z młodzieżą od podstaw. Oczekiwano pracy w lidze na potrzeby drużyny narodowej. JAKIE KLUBY, TAKA REPREZENTACJA!

Racjonalne szkolenie młodzieży było u nas priorytetem tylko na papierze. Naogół sądzono, że wystarczy do odpowiedniej formy doprowadzić starszych wiekiem i stażem zawodników, rutyniarzy, zazwyczaj już wyeksploatowanych, a dobre wyniki przyjdą same. Bałamutne dywagacje. Tu potrzebny jest napływ „świeżej krwi”. Tymczasem w połowie lat sześćdziesiątych stan, nawet tej starej kadry ligowej nie był budujący. Wyjątek stanowili środkowi obrońcy. Obok Stanisława Oślizły i Jacka Gmocha najczęściej razem występujących w reprezentacji, w lidze zupełnie dobrze radzili sobie: Henryk Brejza (Odra Opole), Roman Bazan (Zagłębie Sosnowiec), Władysław Kawula (Wisła) oraz Paweł Orzechowski i Walter Winkler (Polonia Bytom).

Natomiast brak było klasowych bocznych obrońców, takich – jak do niedawna Jerzy Woźniak i Stefan Floreński. Dlatego dość często „na bokach” z konieczności występowali stoperzy: Bazan, Winkler, obiecujący Bolesław Szadkowski z ŁKS-u, a nawet Jacek Gmoch z Legii i Roman Strzałkowski z Zagłębia Sosnowiec. Wśród pomocników do reprezentacyjnej klasy poprzedników (Zientara, Gawlik, Strzykowski) zbliżali się tylko Ryszard Grzegorzczak, Piotr Suski i Zygmunt Szmidt. Na szczęście, w tej formacji występowali teraz „wcześniej urodzeni” napastnicy Ernest Pohl i Lucjan Brychczy. Z młodych „łowców bramek” tylko Włodzimierz Lubański, a z rutyniarzy Jan Liberda grali na miarę potrzeb reprezentacji. Janusz Żmijewski, Jerzy Musiałek, Joachim Marx, Eugeniusz Faber, Roman Lentner i Henryk Apostel przeżywali niepokojące wahania formy.

POZYTYWISTA Z „CZUCIEM I WIARĄ”

W tym świetle, w oparciu o europejskie wzory, nieodzowna stała się bardziej przemyślana selekcja utalentowanej młodzieży, a potem rozumne jej szkolenie na potrzeby ligi i reprezentacji. Wielkim sojusznikiem Koncewicza w takim widzeniu przyszłości naszego futbolu był Wiesław Motoczyński, urodzony piłkarski działacz młodzieżowy. Zналиśmy się z Wiesiem, „profesorem” w wyławianiu piłkarskich talentów, jak łyse konie: z boisk piłkarskich, ze stołów bilardowych i... biesiadnych. Choć był znanym fizykiem i matematykiem, romantyczne „czucie i wiara” zazwyczaj mocniej przemawiało do niego, niż „mędrca szkiełko i oko”. Zadziwiał bujną wyobraźnią i logicznym myśleniem. Umiejętnie łączył romantyczne marzenia z pozytywistyczną pracą u podstaw.

Motoczyński był jednym z tych, którzy wypromowali: Zygmunta Anczoka, Jerzego Gorgonia, Jana Banasia, Janusza Kowalika, Janusza Żmijewskiego, Zygryda Szoltyśika, Jerzego Krasę, Roberta Gadochę, Jana Domarskiego, Lesława Ćmikiewicza, Ryszarda Szymczaka, Kazimierza Kmiecika, Adama Musiała, Antoniego Szymanowskiego, Zygmunta Maszczyka, Joachima Marxa, Włodzimierza Lubańskiego, Kazimierza Deynę... To jakiś fenomen! Niemal wszyscy mają w swoim dorobku tytuły mistrzów Polski, medale olimpijskie i mistrzostw świata. Na szczyty sławy wyniósł ich Górski, ale na podwórkach, łąkach i boiskach szkolnych wyszperał Motoczyński i jego współpracownicy. Po unifikacji szkolenia w 1965 roku w Zakopanem stał się praojcem późniejszych sukcesów klubów i drużyny narodowej.

Na mistrzostwach świata w Anglii nie było naszej reprezentacji, ale z Londynu przeniesiono do Warszawy zręby nowoczesności – intensyfikację i wszechstronność w szkoleniu. Pojawiło się też pojęcie „uniwersalizmu ograniczonego”

czyli piłkarskiej maestrii na ściśle określonej pozycji. Definitywnie pożegnano „brasilianę” w jej klasycznej wersji (1+4+2+4). Zaczęto forsować „grę wszystkimi siłami” najczęściej w ustawieniu 1+4+3+3. To właśnie wymagało wszechstronnych umiejętności zawodników. Na takim fundamencie z większym powodzeniem mogły funkcjonować określone systemy, style i taktyka gry. Są to bowiem wartości, które wydają dobre owoce tylko wtedy, kiedy kadra drużyny jest dobrze wyszkolona i zdolna do realizacji stawianych zadań.

Apel o systematyczną pracę z młodzieżą i zaproponowane w Zakopanem nowocześniejsze metody szkolenia, aczkolwiek bez entuzjazmu, przyjęto w klubach ligowych ze zrozumieniem. Obiecano zadbać o własny narybek. W pierwszych latach po wojnie dobrą pracą z młodzieżą wyróżniały się głównie kluby krakowskie, śląskie i łódzkie. Po unifikacji w Zakopanem szkoleniem młodzieży nieco żywiej zainteresowano się nawet w Zabrzu i Warszawie. W 1967 roku Górnik, a w 1969 Legia wywalczyły mistrzostwo Polski juniorów. Starano się szkolić młodzież w oparciu o wzory i potrzeby drużyn ligowych. Lepiej realizował to Górnik.

Trenerzy zawsze byli (i nadal są) rozliczani za konkretnie osiągnięty wynik sportowy. W pracy z seniorami jest to zrozumiałe, choć często też budzi wątpliwości. W nadmiernym pośpiechu chce się osiągnąć znaczący sukces. Przeskakuje się szczeble edukacji. W szkoleniu młodzieży jest to szkodliwe, tu potrzebna jest systematyczna, przemyślana praca. Wielkim klubom brak jednak cierpliwości, już wtedy zamiast szkolić własny narybek wołały kupować. Taką drogą „na skróty” tworzone nawet mistrzów Polski juniorów. PZPN niepokoiły takie tytuły „na pokaz”, był za dwiema formułami szkolenia w klubach: wychowywaniem własnej młodzieży i pozyskiwaniem utalentowanych jednostek z klas niższych.